

**Antoni Tokarczuk,
senator pierwszej kadencji Senatu Rzeczypospolitej**

Ja miałem zacięcie takie trochę społecznikowskie, które zaszczerpił mi w dużym stopniu mój wuj, późniejszy arcybiskup przemyski, Ignacy Tokarczuk. Chciałem studiować nauki społeczne, a wiadomo było, że w tamtym czasie można było głównie studiować marksizm na filozofii czy naukach społecznych. A ja zdecydowałem się na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Ale że chciałem być użyteczny i pracować już jako absolwent w przemyśle, a wtedy była największa szansa, to zdecydowałem się na socjologię pracy, bo wtedy była trochę moda na to, by zatrudniać socjologów w dużych zakładach przemysłowych. Zamawiano pewne badania, korzystano - nie korzystano, ale był taki trend i wtedy była taka możliwość już otrzymania pracy.

I poszedł Pan pracować do ROMET-u?

Nie, najpierw poszedłem pracować w Poniatowej, Zakłady Elektromaszynowe w Poniatowej. Dlatego, że tak: żona, jeszcze wtedy narzeczona, jeszcze miała dwa lata studiów, więc chciałem się ulokować pod Lublinem. Chociaż też miałem propozycję pracy w Bielsku Białej w zakładach Fiata. No, ale tam się nie dogadałem. W dodatku bylibyśmy za bardzo tacy odlegli od rodziców, od siebie, w związku z tym w Poniatowej zatrudniłem się w Zakładach Elektromaszynowych. Nawet ku swojemu zaskoczeniu zostałem zatrudniony, bo jak się zjawiłem, to kadrowiec po takiej wstępnej prezentacji pyta: „No, jak pan sobie tu wyobraża tu pracę? Tu u nas? Bo wie pan, jakie są pana postawy, poglądy, opinie?” - mnie pyta. Ja mówię: „A dlaczego pan pyta o to?”. „Bo wie pan, to jest socjalistyczny zakład, a to jest katolicki uniwersytet”. A ja powiedziałem: „A ja myślałem, że to jest zakład elektromaszynowy”. No i skończyła się na tym nasza rozmowa. Ale za kilka dni dostałem zaproszenie do pracy i pracowałem tam. Natomiast żona pochodzi z Bydgoszczy, więc już po roku zacząłem się zastanawiać, żeby pracować w Bydgoszczy. A że moje hobby to był rower, a zakłady ROMET były dużymi zakładami, więc od razu skierowałem się z pytaniem o pracę. I w związku z tym, że to było to samo zjednoczenie, to mnie przyjęto w drodze przekazania służbowego, więc tutaj nie było problemu. I tak rozpocząłem pracę w Zakładach Rowerowych.

I tam się zaczęła Pana działalność wywrotowa?

To znaczy, nie byłem jakimś opozycjonistą. Przecież tutaj w Bydgoszczy nie było jakiejś organizacji opozycyjnej, ja nie miałem stałych kontaktów. Ja tam miałem jakiś dostęp do materiałów bezdebitowych, korzystałem z tej prasy podziemnej, miałem jakieś takie kontakty bardzo pośrednie przez osoby, które miały bliższe kontakty. Przecież nie miałem bezpośrednich kontaktów z KOR-em czy innymi organizacjami. No, ale dysponowałem wydawnictwami niezależnymi i tak właściwie pracując w tych Zakładach Rowerowych, tak się oglądałem. Praca była interesująca, ale tak trochę pracowałem do szuflady. Co prawda dyrektor czytał moje analizy, nawet mieszkanie dostałem, bo bardzo mu się podobało, że dużo papieru zużywałem przy opracowaniach - to była dla nich miara pracowitości. Ale miałem poczucie, że właściwie nie po to pracowałem, żeby dla jednego człowieka pracować, który nie bardzo wie, co z tymi wynikami badań zrobić. Badałem tam fluktuacje, przyczyny konfliktów, niezadowolenie, jakieś, powiedzmy, sytuacje różnych grup, chłoporobotników i tak dalej. No, dla normalnego menadżera byłyby to przydatne rzeczy, natomiast w tamtej biurokracji socjalistycznej to były właściwie takie nowostki, ciekawostki. Ale pracowałem i czekałem na czas cierpliwie. Właśnie wuj mi zawsze tłumaczył: „Ty się nie denerwuj, ty pilnuj pracy i twój czas nadejdzie”. I rzeczywiście potem mój czas nadszedł, ale tak zupełnie można powiedzieć, przypadkowo. Albo przypadek, albo dziwne zrządzenie losu dlatego, że w sierpniu 1980 roku organizowałem taki wyjazd grupy studentów z Politechniki Częstochowskiej z Aten do Polski. Ja się przygotowywałem i mieliśmy razem wrócić z Aten do Warszawy czy do Częstochowy, ja również do Bydgoszczy. Ale złożyłem podanie o paszport, nawet paszport dostałem i trzeba było wizę uzyskać w Ambasadzie Greckiej. Jak złożyłem paszport, żeby mi przybito wizę, to się okazuje, że nie zjawiłem się od razu tego dnia, tylko po dwóch dniach, bo

od razu chciałem wsiąść z roweru do samolotu. I się okazało, że ukradziono mi ten paszport. Tak że swoją karierę polityczną zawdzięczam, można by powiedzieć, złodziejom. Tak w czasie sierpnia byłbym na rowerze, jechałbym przez Europę, a tak wróciłem jak niepyszny do Bydgoszczy, wróciłem do ROMET-u. A to już był okres strajków na Wybrzeżu i pamiętam, że już się wybrałem na wakacje, żeby ojcu i bratu pomóc w żniwach, a to jeszcze to był ostatni dzień przed urlopem, przyjechałem rowerem, bo już komunikacja miejska nie kursowała. Dojechałem tym rowerem, którym miałem jechać właśnie z Aten do Polski. Już wtedy rozpoczynał się strajk, Jan Rulewski, z którym się osobiście nie znałem, zorganizował strajk. Już komitety strajkowe powstawały w poszczególnych wydziałach. To był duży zakład, pięć tysięcy ludzi przedsiębiorstwo całe liczyło. Ja pracowałem w kadrach jako socjolog, więc pamiętam, że jak zobaczyłem, że już coś się dzieje, wyleciałem, patrzę: tu Rulewski zbiera ludzi. Komitet strajkowy wybiera się, poszczególne wydziały delegują ludzi, ale wśród umysłowych oczywiście nie było chętnych ani do delegowania, ani do wstąpienia do komitetu. No, bo wiadomo, co prawda było 20 proc., tysiąc umysłowych, ale nie było chętnych do wstąpienia. Więc ja się tak długo zastanawiałem, wróciłem jeszcze na chwilę do biura, miałem piękny gabinet, posprzątałem te wszystkie trefne rzeczy, które miałem, no i przyleciałem i czekam. Nikt tu mnie nie proponuje do komitetu strajkowego i sam się zgłosiłem. Ale to tak zabawnie dosyć wyglądało i jeszcze byłem z taką grupą dziennikarzy z gazety zakładowej i tak patrzę: no, tutaj jest praca, no, nikt nie wyobrażał sobie takiego finału, więc dla mnie to była decyzja, no, już pożegnałem się z pracą, myślałem może o więzieniu, o wszystkim, co niekoniecznie się przyjemnie kojarzy. No, więc tak wahałem się, wahałem i powiedziałem szpetnie niestety w takiej emocji wyraz na „k” i powiedziałem: „k_, dosyć już byłem tchórzem!”. I się zgłosiłem. Spytałem, czy wezmą do tego komitetu. A że znali mnie trochę, bo prowadziłem jakieś tam pogadanki w radiowęźle, mówiłem o różnych problemach społecznych, więc mnie chętnie zaangażowali. Od razu mnie przydzielono do gromadzenia postulatów. Ja widziałem, co się dzieje, jakie ludzie mają oczekiwania, więc wtedy, przez te cztery doby czułem się najbardziej szczęśliwym człowiekiem. Bo do tej pory to miałem tylko poczucie, że pracuję bezsensownie, bo biurokracja. A te cztery dni mi to wszystko wynagrodziły, te całe lata oczekiwania. Wtedy, kiedy ludzie tak do mnie przychodzili z takim zaufaniem, którego nie okazywali mi wcześniej, to miałem poczucie, że warto dziesięć lat posiedzieć, żeby mieć takie zaufanie ludzi, takie zapotrzebowanie na pomoc. Ale potem jak już siedziałem kilka miesięcy, to stwierdziłem, że przesadziłem z tymi dziesięcioma latami. Nie, no, to były oczywiście bardzo takie owocne lata i to był taki moment tej decyzji, gdzie rzeczywiście, no, rzadko mi się to może w życiu zdarzało, ale wtedy musiałem wykazać jakąś odwagę. To trzeba było rzucić wszystko i pójść, nie, w ciemno.

To internowanie było w związku z tymi czterema dniami?

Nie, potem współorganizowałem Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Bydgoszczy. Potem jak się strajki zakończyły, to powstały tymczasowe władze „Solidarności”, Tymczasowy Komitet Założycielski. Ja byłem zastępcą przewodniczącego tutaj w Bydgoszczy. Rulewski był przewodniczącym, a ja byłem zastępcą. No i potem, po pierwszym zjeździe „Solidarności”, Wałęsa mnie zaproponował na sekretarza prezydium Komisji Krajowej, więc byłem taką prawą ręką Lecha Wałęsy do spraw organizacji związków, bo jeszcze było dwóch zastępców. Prezydium liczyło z osiem osób, ale ja odpowiadałem za organizację pracy związku oraz za negocjacje z rządem przed stanem wojennym.

Później, w stanie wojennym, no, oczywiście negocjowaliśmy. Wiadomo, że wtedy to były ciężkie rokowania i skazane na niepowodzenie. Wiedzieliśmy, że władze komunistyczne przygotowują się do zamachu - czy to w formie stanu wyjątkowego^ Wiedzieliśmy, że jeżeli legalnie to chcą zrobić, to muszą zrobić to poprzez Sejm, dlatego też odwlekaliśmy posiedzenia Komisji Krajowej. Ale w końcu Komisja Krajowa odbyła się. Odbywała się, jak wiadomo, do 12 grudnia, a już w tym czasie ogłoszono, podjęto decyzję o stanie wojennym w sposób niezgodny z Konstytucją. No, ale jeszcze stan wojenny, znaczy, już wiedzieliśmy, co się dzieje. Ja nie miałem złudzeń. Jeszcze pamiętam, to było już po pierwszej w nocy, z Jerzym Kropiwnickim rozmawiałem,

późniejszym prezydentem Łodzi, i mówię do niego: „No, Jurek, tym razem to już widzę, że oni już ruszyli”. A Kropiwnicki mówi do mnie: „Ty jak zwykle masz pietra inteligenckiego”. A się okazuje, że stan wojenny już od ponad godziny trwa. No i wróciłem za dziesięć druga, pamiętam dokładnie, położyłem się spać i za dziesięć trzecia mnie wyrwano. Już spałem kamiennym snem, zmęczony straszliwie, bo to wielodniowa praca była to przygotowanie Komisji Krajowej, a później obrady. Pamiętam tylko takich dwóch „kosmonautów”, zomowców ubranych, z tarczami, w jakiś hełmach potężnych. I ten jeden cywil, którego twarzy i oczu do końca życia nie zapomnę. Kazali się spakować, nawet kalesonów nie dali założyć, pomimo że był wtedy mróz. I zabrali nas. Wtedy byłem internowany dwa tygodnie w Szczebielinku z wszystkimi tutaj, a potem wybrano nas dziewięciu eksternistów i zawieziono do Białoleki. Tam właściwie poza obozem dla internowanych w więzieniu trzymano nas, przygotowując nas, grupę działaczy „Solidarności” czołowych, głównie tych, których nazywano eksternistami, i działaczy KOR-u. Władze ówczesne miały taką koncepcję: przygotować proces pokazowy polityczny, który miał udowodniać, jak to KOR manipulował „Solidarnością” i sprowadził ją na złe drogi. Dopiero później zrezygnowano z tego procesu, z tej koncepcji rządu. KOR aresztowano już wcześniej, w sierpniu. Potem dzięki temu ja do tej koncepcji nie byłem już potrzebny i byłem ostatnim internowanym wypuszczonym na wolność, bo łącznie z Januszem Onyszkiewiczem i Sobierajem z Radomia to była ostatnia godzina trwania instytucji internowania.

Jak to było być internowanym?

Jak na to się patrzy z perspektywy czasu i odnosi się na przykład do przeżyć tych Polaków patriotów, członków AK i innych, którzy byli mordowani w okresie stalinowskim, to można by powiedzieć, że to było przedszkole - nie przeżywaliśmy przecież takich cierpień fizycznych, nie byliśmy tak torturowani czy w ogóle nie byliśmy, prawda, w taki sposób jak tamci. Więc nigdy nie miałbym odwagi się porównywać do tych bezimiennych bohaterów, których wymordował Stalin czy Hitler. Ale każdy życie ceni swoje przede wszystkim, więc przede wszystkim ja żyłem w perspektywie, no, tych kilku lat, które przesiedzę. Pamiętam, jak zegnałem żonę na przystanku kolejki elektrycznej i jak żona mnie spytała, kiedy się zobaczymy, to powiedziałem, że za siedem lat. I się okazuje, że się wiele nie myliłem dlatego, że potem jak nas już przewieziono do Białoleki i wrzucono do tej celi świeżo opuszczonej przez ośmiu więźniów, a ja tylko w dwójkę byłem z kolegą z Radomia, to mi powiedziano: „No, to tutaj posiedzicie sobie siedem lat”. I to wcale nie brzmiało jak łgarstwo. To były takie ich realne plany. I wtedy, pamiętam, wpadłem jeszcze w taki historyczny śmiech. Ale wcześniej przeżyłem jeszcze taki moment właściwie własnej śmierci i to kilka osób, osiem osób internowano z hotelu Monopol. Bo skoro ja pracowałem na co dzień w związku, to nocowałem w hotelu, miałem stałe mieszkanie, pokój wynajęty. No i mnie zabrano i zawieziono tych kilka osób (pani Przybylska z Płocka, pani doktor, Janusz Onyszkiewicz i kilka jeszcze osób), my byliśmy pierwsi, zanim jeszcze całą Komisję Krajową dowieziono z Sopotu. I tutaj bawiono się naszym kosztem. W pewnym momencie nas postawiono pod ścianą, poprzedzielano milicjantami młodymi z karabinami jeszcze i jakimiś takimi urządzeniami - nie wiem, czy to jakieś gazowe przystawki, czy nie - i zaczęto biegać. I właściwie chciano nam pokazać, no, straszono, że nas rozstrzelają pod tą ścianą. Pamiętam, jeszcze takiego młodego milicjanta namawiałem, zaklinałem go na wszystko, żeby powiadomił moją żonę o tym, co się stało. Więc później jak się okazało, każda z tych osób, każda z tych ośmiu, to była przekonana, że to już ostatnie minuty, powiedzmy, że to ostatnie sekundy. No, ale oni się zabawili i potem nas zostawili. Potem już byliśmy w całej grupie, więc kiedy już Jaruzelski rano przemawiał, to dla mnie to była ulga, bo ja już wiedziałem, że skoro jestem wymieniony przez Jaruzelskiego, to już nie będę anonimowo zlikwidowany. Cały okres internowania przeżyłem najpierw od pierwszej do ostatniej godziny instytucji internowania, czyli rok i dziewięć dni.

Czy jest taki strach, który powoduje, że się żałuje tej odważnej decyzji, którą się podjęło wcześniej?

Nie, myślę, że[^] Na pewno inaczej utratę wolności przeżywa kryminalista, ktoś, kto złamał prawo, który może żałować. My to robiliśmy z pełnym przekonaniem, wiedzieliśmy, że robimy rzeczy wielkie, zgodne z oczekiwaniami, że ta władza w swojej bezsilności porywa się na akty gwałtu, przemocy. Wiedzieliśmy, że wcześniej czy później będzie musiała, tak jak to historia Polski pokazała, ustąpić. Ale liczyliśmy się z tym, że te kilka lat trzeba będzie rzeczywiście za kratami spędzić. To było żal. Czas szybko leci, zwłaszcza czym człowiek starszy, ale wtedy każda minuta[^] To bardzo pamiętam, jak sobie nieraz marzyłem o tym siedząc i patrząc w kratę, żeby jechać najnudniejszym pociągami, to byłaby wielka atrakcja wtedy, prawda, ale to nie było tak że, że nas gnębiono w jakiś sposób, chociaż izolowano nawet przez pierwszy miesiąc, nie chciano nas dopuścić do udziału we mszy świętej, potem dopuszczano, ale w takiej izolacji, nawet z kolegami, z którymi razem byliśmy na jednym piętrze, nie mogliśmy się widzieć, uciekano się do takiego terroru psychicznego. Ja na przykład przed świętami Wielkanocnymi spodziewałem się wizyty żony. Potem się okazuje, że przez cały miesiąc żona się nie zjawia i nie dostaję żadnej wiadomości, żadnego listu. Człowiek jest pełen najgorszych przeczuć, bo od razu sobie wyobraża, że coś się stało, że jakieś nieszczęście, że chora. No, bo przecież tak nagle by nie przestała pisać bez jakiegoś powodu. No, a w więzieniu czas się dłuży, jak powiedziałem. Więc potem się okazuje, po świętach Wielkanocnych dostaję list od żony, taki ckliwy. No, żona żali się, że ile to może trwać, że ona już nie wytrzyma, kiedy to się skończy. I wylewa tutaj łzy i żali się, że już nie może wytrzymać w takiej niepewności i w tym rozstaniu. I na co zwróciłem uwagę - że ten list był napisany poprzedniego dnia o godzinie 19 był nadany na pocztę, a już o godz. 10 go miałem w ręku, następnego dnia. Więc oni mi dali ten list do przeczytania i za 15 minut już miałem zaproszenie na rozmowę z oficerami, funkcjonariuszami SB. I oni znowu zaczynają w ten sposób: „Panie Antoni, nie bądź pan taki chojrak. Siedem lat pan posiedzisz, nikt o panu nie będzie pamiętał, jak pan wyjdiesz. A jakby pan z nami gadał, nie chcemy, żeby się pan czegokolwiek wypierał, tylko niech pan z nami rozmawia, obieca, że się pan nie będzie podejmował żadnej działalności, to pan z żoną się będzie mógł spotykać, prędzej pan wyjdzie”. I to było takie kuszenie, takie psychiczne kuszenie i łamanie. W tym przypadku miesiąc najpierw przetrzymać korespondencję, nie dać żadnych widzeń, bez informowania. A potem nagle chcieli łamać mnie na tęsknocie żony, mojej tęsknocie, no, oczywiście za wolnością, za rodziną. To były takie próby. Ale później już w drugim półroczu popuszczono nam dyscyplinę, to już nie było tak. No, oczywiście czas nam się dłużył, ale już mieliśmy kontakty z sobą i dostęp do książek i już nie było takiej izolacji.

Wyszedł Pan jako jeden z ostatnich osób internowanych. A kto Panu zaproponował kandydowanie do Senatu?

No, zaraz po kilku dniach, trzech czy czterech dniach, jechałem zameldować się Lechowi Wałęsie. No, on mnie tam uspokajał, żebym był cierpliwy, że to nie tak wszystko od razu. Bo ja już oczywiście byłem gotów do ostrych działań.

Jeszcze odwiedziłem świętej pamięci księdza prałata Jankowskiego, który tutaj namawiał do współpracy. Powiedział, że teraz on przejmuje część obowiązków, bo Wałęsa za wiele nie może. No, on tę działalność charytatywną prowadził, tam było miejsce kontaktów. Tak że nawiązałem te kontakty, które już miałem przez stan wojenny z Wałęsą. Ściągałem go tutaj do Bydgoszczy chyba w 1984 roku na mszę za ojczyznę, tak że utrzymywałem te kontakty. Tak że potem, no, oczywiście tam miałem kontakty ze strukturami podziemnymi pośrednio, później byłem członkiem, już po okresie takim, jak już było to możliwe, członkiem struktur podziemnych w Bydgoszczy. Ale ciągle oczywiście byłem bezrobotny, gdzieś tam pracowałem na czarno, nielegalnie, zajmowałem się plantacją truskawek, porzeczek, jako introligator przy produkcji książek w takim nielegalnym wydawnictwie przykościelnym księdza Tadeusza Dzięgła, znanego skądinąd z innych rzeczy. No i te kontakty utrzymywałem.

Jak przyszedł okres przed okrągłym stołem, właściwie władze komunistyczne słabły i próbowały jakiegoś tam dialogu, najpierw takich inicjatyw mieszanych, gdzie chciano nas wciągnąć na zasadzie PRON-u czy innych organizacji[^] Ale władze słabły i coraz był większy margines dla

działań jawnych. Wtedy już dostałem zaproszenie do udziału w tymczasowych władzach „Solidarności”. I byłem w tymczasowym komitecie wykonawczym, wśród tej grupy osób, gdzie Wałęsa był przewodniczącym, a zastępcą był Lech Kaczyński. I byłem wśród tych władz, które przygotowywały okrągły stół i decyzje o okrągłym stole. No, byłem też członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, miałem to zaproszenie. Tak że byłem jakby decydem, jeśli chodzi o okrągły stół. Współdecydowałem jako członek władz „Solidarności”, byłem członkiem Komitetu Obywatelskiego, więc jak już przyszły wybory, to byłem zupełnie naturalnym kandydatem. Organizowałem struktury w Bydgoszczy, więc byłem tak jakby najbardziej oczywistym kandydatem do zdjęcia z Lechem Wałęsą i do kandydowania.

A jakie były Pana oczekiwania dotyczące Senatu, dotyczące tej pracy, która przed Państwem stała do wykonania?

Znaczy, ja kierowałem się takimi dwoma kryteriami. Po pierwsze, byłem działaczem związkowym, więc chciałem patrzeć na te zmiany, które mają być dokonane w Polsce, z punktu widzenia interesów pracowniczych, no, byłem związkowcem. Tworzyłem też Komitet Obywatelski w Bydgoszczy i byłem związany z regionem. Komitet Obywatelski później przecież przygotowywał wybory samorządowe. Ja byłem przewodniczącym. Wygraliśmy te wybory wtedy pod moim patronatem, nawet dwukrotnie, wybory samorządowe w Bydgoszczy, więc miałem takie dwa wyznaczniki jakby w swojej działalności. Działalność związkowa. Ale trudno było być racjonalnie zachowującym się działaczem związkowym, bez jakby spojrzenia na konieczne reformy gospodarcze. Więc tutaj przedmiotem mojego zainteresowania były dwie komisje w sposób naturalny: Komisja Gospodarki Narodowej, bo to było najważniejsze wyzwanie. No, wiedziałem, że sytuacja jest dramatyczna, jeśli chodzi o gospodarkę, i chciałem uczestniczyć. Ale też chciałem patrzeć na to okiem reprezentanta interesów, interesanta pracowniczego, prawda, pracowników, związkowca i dlatego byłem i w Komisji Gospodarki Narodowej, i w Komisji Polityki Społecznej i Zdrowia. Już zdrowie było doczepione, więc musiałem i tymi zagadnieniami się interesować też. Może i miałem trochę pecha w tym sensie, że za Komisją Inicjatyw i Prac Ustawodawczych to były dwie najbardziej zapracowane komisje, jak ze statystyki wynika. I jedna, i druga po tej komisji to były najczęściej spotykające się komisje. Z tym że Komisja Gospodarki jakby recenzowała te kierunki reform, które były prowadzone pod kierunkiem wicepremiera Balcerowicza. No, Komisja Gospodarki, ona nie przejawiała jakiejś tam inicjatywy, a raczej korygowała tutaj pewne rzeczy, bo wiadomo, że Senat i ta komisja generalnie, no, przyjmowała te kierunki, które były zaproponowane przez rząd Mazowieckiego.

Natomiast w Komisji Polityki Społecznej jakoś próbowaliśmy znajdować sposoby na to, żeby ludzie nie znaleźli się od razu w jakiejś sytuacji beznadziejnej, w warunkach wprowadzania wolnego rynku. A więc skoro byłem umocowany tutaj w tej działalności publicznej, lokalnej, przedmiotem naszego zainteresowania była samorządność. I w związku z tym, że Senat te inicjatywy też podejmował, to była ta dziedzina, która też jakby skupiała moją uwagę. To były takie podstawowe kierunki moich zainteresowań, prawda, poprzez te dwie komisje. Ja już w komisji samorządu nie byłem, to by już przekraczało moje możliwości, tym bardziej że byłem wojewodą, więc też czasu nie miałem w nadmiarze. Ale koncentrowałem się na tych takich właśnie głównych zagadnieniach.

Nie było to przerażające, ten ogrom pracy do wykonania, który przed Państwem stał?

No, tak, przecież ja miałem ukończony uniwersytet, nauki społeczne i teoretycznie byłem jakoś tam przygotowany, ale przecież nie miałem pojęcia o makroekonomii, prawda. Trzeba było decydować o podstawowych rzeczach i myśmy trochę szli jak w dym, to jest prawda. Przecież my nie byliśmy przygotowani do rządzenia. Ja wiele lat byłem bezrobotny. Robiłem po nocach gdzieś tam na cmentarzu, produkowałem nielegalnie książki, uprawiałem porzeczkę. Przecież nie puszczono mnie na stypendium doktoranckie do Freiburga, miałem w ramach studiów doktoranckich tam odbyć studia no i w rezultacie we Freiburgu odmówiono mi paszportu i to wielokrotnie. Tak że ta szansa

tutaj została mi zabrana. Więc działaliśmy bardzo intuicyjnie, prawda, musieliśmy komuś wierzyć.

Rząd Mazowieckiego, plan Balcerowicza. Myśmy się temu przyglądali tylko, bo przecież my nie mogliśmy przedstawić alternatywnych rozwiązań, bo nikt nic[^] Ja mówię o tej fali działaczy, senatorów, którzy wyszli z „Solidarności” bezpośrednio jako działacze. Ale my mieliśmy takie chyba zdrowe podejście, bo chcieliśmy zmian, w których rozwijałaby się gospodarka, ale też oszczędzała ludzi. Oczywiście mniej czy bardziej udolnie, ale staraliśmy się pilnować, by zachowana była równowaga jakaś między dążeniem do rozwoju gospodarczego, między wprowadzaniem rynku a ochroną interesów pracowniczych. Ale później czułem się coraz dalej od Związku Zawodowego, bo jakby inny punkt widzenia[^] Już tutaj jako senator poczuwałem się do tego, żeby jednak myśleć o rozwoju Państwa Polskiego bezpośrednio, rozwoju gospodarki. A już te interesy partykularne, związkowe powodowały konieczność zachowania innej postawy. I tutaj już widziałem konieczność rozejścia się z udziałem w pracach bezpośrednich w związku i zrezygnowałem z funkcji związkowych już jako senator.

Później powstała taka sytuacja, że w Bydgoszczy najdłużej piastował funkcję wojewoda, członek jeszcze ekipy poprzedniej, ale członek ZSL-u. I kiedyś wyjeżdżaliśmy razem, już Komitet Obywatelski, wojewoda, mieliśmy kontakty z Danią, gdzie, powiedzmy, szukaliśmy wsparcia dla polskiego rolnictwa programowego. I płynęliśmy promem do Danii. Ja spałem spokojnie, a się okazuje, że pan wojewoda miał pecha, bo w sąsiedniej celi jakiś luźny stół tłukł się po ścianach w czasie tego małego sztormu i on nie spał całą noc. I rano mi powiedział, że właśnie doszedł do wniosku, że on już powinien zakończyć karierę wojewody i zaczął mnie na tym promie namawiać, żebym ja się zdecydował. Ja byłem trochę zaskoczony, ale była taka sytuacja tutaj w Bydgoszczy, że nasz kolega z Komitetu Obywatelskiego, który był wicewojewodą, niestety związał się z działaczami PZPR-u, znaczy, poszedł w układy z nomenklaturą, można tak powiedzieć, i niestety z miejscową mafią, to znaczy z formami, które handlowały alkoholem, z którymi miałem potem wielkie wojny i przeboje już jako wojewoda. I w związku z tym mówiłem, że nie możemy się zgodzić z tym, żeby on został wojewodą, bo to by było oddanie władzy w województwie w niepowołane ręce. To był taki motyw, który spowodował, że zdecydowałem się nie odmawiać czy nawet się starać. No, oczywiście to takie były oczekiwania wyrażone w różny sposób. Ale jeżeli chodzi o funkcję wojewody, w odróżnieniu od ministra, to o tę funkcję, można powiedzieć, że nawet zabiegałem, w obliczu sytuacji, która była wtedy w województwie.

Wtedy był Pan jednocześnie senatorem i wojewodą?

Tak. Jako senator zostałem wojewodą. Potem jeszcze będąc wojewodą, zostałem posłem. No i potem skoro Porozumienie Centrum postawiło się rządowi pani Suchockiej, ja głosowałem jak partia. I Jarosław Kaczyński przykazał, co wiedziałem, jak się skończy. I w związku z tym zostałem odwołany z funkcji wojewody. No, ale jeszcze byłem posłem. Potem, po walce Jarosława Kaczyńskiego z Wałęsą, z Mieczysławem Wachowskim, doprowadziliśmy do tego, że rząd Suchockiej upadł. No i oddaliśmy na cztery lata władzę SLD.

To był taki czas w Pana życiu, kiedy właściwie polityka i zajmowanie się sprawami państwa zajęły całe Pana życie.

No, tak, tak, no, oczywiście. Tym bardziej, że to był okres naprawdę trudny, bo po pierwsze, my nie mieliśmy gotowych rozwiązań i tempo prac było olbrzymie. Przecież wystarczy popatrzeć na inicjatywy ustawodawcze Senatu, na liczbę rozpatrywanych ustaw, na zajmowane stanowiska w związku z rocznicami okolicznościowymi, na okolicznościowe wystąpienia Senatu - to była ponad połowa wszystkich wystąpień następnych kadencji Senatu. Te reformy, które wspieraliśmy, gospodarcze, pewne inicjatywy obywatelskie, patriotyczne - to angażowało bardzo oczywiście. Więc tu trzeba było całkowicie się poświęcić.

A też to były czasy, kiedy działalność polityczna nie przynosiła takich apanaży jak teraz. Pamiętam, że dieta to była bardzo marniutka, zresztą jako wojewoda zarabiałem trzy razy mniej niż

szefwodociągów w Bydgoszczy. A dieta poselska była bardzo kiepska, tak że ja prawie wszystko traciłem na działalność. Tutaj żadnych oszczędności nie miałem. I właściwie kiedy PC doprowadziło, przyczyniło się do tego, że upadł rząd Suchockiej, to ja pamiętam, że wziąłem jeszcze 50 milionów starych złotych kredytu, który przeznaczyłem na kampanię. I potem oczywiście wybory przegraliśmy, aczkolwiek osobiście to miałem jeden z najlepszych wyników, nie pamiętam, szósty wynik, gdyby liczyć procent uzyskanych głosów wśród wszystkich kandydatów do Sejmu. No, ale oczywiście jak partia nie przeszła, to ja zostałem na lodzie i to był oczywiście bardzo kiepski moment, bo znowu byłem bezrobotny przez długi czas i jeszcze z długami. Tak że tutaj też niełatwa była sytuacja.

A wracając do pierwszych prac Senatu. One szły bardzo szybko, tych decyzji trzeba było podejmować mnóstwo. Jakie to wywoływało emocje? Jak zmieniały relacje między senatorami? Nawiązywały się przyjaźnie? Ma Pan jakieś przyjaźnie z tamtego czasu? Albo ktoś zawiódł? Ktoś z dawnych przyjaciół ma poglądy skrajnie różne od Pana?

Nie. Tak, ja już od początku należę do Porozumienia Centrum i ta moja przynależność trochę mnie ustawiła również towarzysko, prawda, bo Porozumienie Centrum nie było partią kochaną, mimo że może jeszcze wtedy bracia Kaczyńscy nie wykazywali pełnego wymiaru swojej osobowości, tak to bym powiedział. Ale był konflikt wyraźny i myślę, że konflikt, który miał pewne racjonalne uzasadnienie. Konflikt polityczny, bo nie mówię o sposobie uprawiania polityki i o sposobie walki z konkurencją polityczną, bo to jest inny temat i to nie zawsze musi być usprawiedliwione. Natomiast, no, jest faktem, że kłóciły się pewne racje polityczne, były różne założenia co do rozwoju politycznego w Polsce. Myślę, że okrągły stół, aczkolwiek ja nie byłem i nie jestem przeciwnikiem okrągłego stołu, natomiast uważam, że zaczęliśmy przesypiać pewne dobre momenty do przyspieszenia zmian w Polsce. I to zmian politycznych, kulturowych i gospodarczych. Dlatego bliskie mi były idee Porozumienia Centrum. Z tym że oczywiście nie chodziło o styl uprawiania polityki, który czasami doprowadził do tego, że potem w ogóle się wyłączałem z polityki.

Ale jakie były racje, jak ja to widziałem? Bo chodzi o tę słynną wojnę na górze i tak dalej. Teraz się dowiadujemy o pewnych kulisach: kto, co, jak to tam było. W kulisach pewne rzeczy były przygotowywane i ja muszę powiedzieć, że ja niewiele wiedziałem, jeżeli chodzi o tę stronę zakulisową. To gdzieś w gabinetach warszawskich były te sprawy załatwione. My nie byliśmy nawet dopuszczani do wszystkich informacji. Myśmy czasami byli zaskakiwani, jak chociażby tym posiedzeniem Komitetu Obywatelskiego, gdzie doszło do sporu Wałęsy, który tak ostro potraktował Turowicza na przykład. Nie znaliśmy blisko całej tej otoczki. Ale jest faktem, że już wtedy dostrzegałem takie dwie tendencje w polityce. Otóż myślę, że wokół okrągłego stołu, gdzie elity solidarnościowe związane z KOR-em i Adamem Michnikiem, i Jackiem Kuroniem, dla mnie miały jak gdyby podobną cechę co ekipa Jaruzelskiego, pewne wspólne cechy. Otóż przy całej różnicy, bo ja nie chcę sprowadzać ich, broń Boże, do tego samego poziomu, ale te elity bały się takiej bezpośredniej demokracji, wprowadzenia pełnej wolności politycznej w Polsce i mi się to wiązało. Niektóre cele Adama Michnika, jako pewnego lidera, z Kiszczakiem i z Jaruzelskim, bo oni chcieli jakby dawkować trochę tę demokrację. Bali się może tego, co i nastąpiło w Polsce, że ta otwarta demokracja będzie niewygodna, że potem partie niespodziewanie mogą populizm wprowadzać i Tymiński może się pokazać. Więc te ich obawy nie były takie nieuzasadnione. Ale jednak demokracji nie da się porcjami budować. Trzeba się zdecydować. Naród musi się uczyć na błędach i doświadczeniach. A tutaj jednak były pewne ograniczenia. I jak patrzę na Senat, to przy wielu bardzo pozytywnych przejawach działalności Senatu, o których trzeba jeszcze powiedzieć, to były też momenty, których nie wykorzystaliśmy do końca.

Ale wracając jeszcze do tych różnic politycznych. Ja byłem zdecydowanie za pewnym przyspieszeniem. Otóż to hasło do mnie przemawiało dlatego, że miałem za złe świętej pamięci Bronisławowi Geremekowi, nawet i Mazowieckiemu, że oni jakby za bardzo się przywiązali do partnerstwa z PZPR-em czy z działaczami z tym rodowodem. Po prostu uważam, że to był ogromny

błąd, że skoro PZPR została rozwiązana, to my mogliśmy natychmiast pójść do przodu. Przecież nie mieliśmy żadnych zobowiązań okrągłostołowych, bo nasz partner sam się rozwiązał. A my byliśmy wierni tej nieboszczce nagłej śmierci i to się przejawiało w wielu sprawach. Myślę, że patrząc na Senat, Senat też za bardzo uległ. Po pierwsze, oddaliśmy majątek PZPR-owi i jego przybudówkom. Oni dostali majątek. Mieli ogromny majątek i pieniądze na prowadzenie kampanii, na organizowanie partii. A my właściwie zostaliśmy z gołymi kieszeniami. My mieliśmy ze składek się utrzymywać, a oni mieli majątek. PSL ma PSL-owski majątek do tej pory, prawda, SLD przecież ma siedzibę. A my musieliśmy wszystko wynajmować i to za wolnorynkowe ceny. Była atmosfera do tego, żeby jednak PZPR-owi i jego przybudówkom odebrać ten majątek i nawet członkowie PZPR-u, posłowie, członkowie, oni się godzili. Elity postpezetpeerowskie godziły się. Oni byli szczęśliwi, że oni w ogóle jeszcze żyją, że funkcjonują politycznie, że nie zostali zlikwidowani. I tu nagle okazuje się, że my jesteśmy bardziej łaskawi, niż oni tego oczekiwali. A ciągle się bano, że generałowie, że będzie jakiś pucz. I tutaj źle oceniliśmy sytuację jako elity w Polsce. Za bardzo ustąpiliśmy i zlikwidowaliśmy równość szans w życiu politycznym. Też myślę, że tu Senat nie wykorzystał szansy, żeby się przeciwstawić.

Była sprawa na przykład mediów, a głównie prasy. Pamiętam, jak Aleksander Hall jako minister premiera Mazowieckiego przybiegł do nas i nagle nas zaczął przekonywać, że mamy się zgodzić na te rozwiązania dotyczące prasy w Polsce, które zostały przyjęte, żeby całą prasę, majątek oddać spółdzielniom dziennikarskim. Tłumaczono nam, licząc na naszą naiwność czy nie wiem, że ci dziennikarze, którzy służyli systemowi komunistycznemu, jak teraz poczują wolność, jak będą mieli wolność słowa zapewnioną i majątek, to oni będą służyć Polsce. I tu niestety jest też jedna z największych naszych przegranych. Bo co się okazało? Dziennikarze postkomunistyczni czy komunistyczni się uwłaszczyli, po czym sprzedali ten majątek zachodnim koncernom. No i niestety ci, którzy tak ostro krytykują środki przekazu, jednak w części przynajmniej mają rację, że czasami mamy do czynienia z prasą polskojęzyczną, a nie polską. Tutaj trudno bronić. Bo jeżeli okazuje się, że nawet w Bydgoszczy postpezetpeerowski dziennik jest teraz własnością tego samego koncernu jak inna gazeta, to się nagle okazuje, że to jest właściwie kapitał obcy w prawie wszystkich środkach przekazu. Więc myślę, że tu przegraliśmy tę szansę. I szkoda, że wtedy w Senacie nie powiedzieliśmy „stop!”, nie przeciwstawiliśmy się. Uważam, że to było jedno z większych niedopatrzeń także Senatu.

I mam też jeszcze takie poczucie niespełnionej misji Senatu, to jest postawy Senatu wobec problemu wsi. Myślę, że tak: plan Balcerowicza, teraz zwłaszcza, nawet po tym okresie jubileuszowym, to oceniam może jeszcze nawet pozytywniej niż jeszcze wiele lat temu. Chociaż na początku oczywiście popierałem bardziej zaufanie do autorów niż rozumienie wszelkich konsekwencji. Ale ten program był dość jednostronny, jeżeli chodzi o wieś. Myślę: źle się stało, że tak nagle wprowadziliśmy wolny rynek na wieś. Wieś trzeba było bardziej ubezpieczać. Na czym to polegało? Nie wystarczyło doprowadzić do upadłości PGR, trzeba było coś w zamian zaproponować. Oczywiście powstała Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, ale co się okazało - pracownicy PGR-u liczni to właściwie żyli z zasiłków. I Kuronia zasiłki tutaj odwrotny skutek od tego zamierzonego przynosiły, bo uczyły ludzi lenistwa czy beztroski pewnej. Natomiast rolnicy indywidualni nie mieli szans na powiększanie własnych gospodarstw, a te wielkie areale popegieerowskie przejmowali przedsiębiorcy nie zawsze uczciwi. Ja nie chcę tutaj jednostronnie traktować, bywało, że doprowadzali tylko do wyeksploatowali, zniszczyli nierzadko na dużą skalę te przedsiębiorstwa. Natomiast rolnicy - nie było tego trendu, żeby powiększać w naturalny sposób gospodarstwo. Ja wiem, że to był problem trudny, bo w pewnych częściach kraju w ogóle nie było PGR-ów, ale myślę, że jeżeli chodzi o wieś, to mamy duży grzech. I ja jako były senator poczuwam się do pewnych zaniedbań

I może jeszcze jedna z takich rzeczy, jeżeli mówimy o zaniedbaniach z tamtego okresu, to mam poczucie, że przespaliśmy ten okres, jeżeli chodzi o rozwój infrastruktury. Wtedy należało budować drogi, autostrady. A tam bywało tak, że w związku z tym, że raz pielęgniarki, raz górnicy, górnicy to przeważnie, hutnicy i inni protestowali, to ciągle szukaliśmy oszczędności, żeby gdzieś

tam przeznaczyć na służbę zdrowia i na inne niezbędne cele, to oszczędzaliśmy kosztem infrastruktury, rozbudowy infrastruktury, kosztem dróg. Zawsze tutaj zabierało się z inwestycji drogowych, bo drogi nie przyszły i nie protestowały, to było najłatwiej urywać. Ja pamiętam, że jak już nie było pieniędzy, to zawsze kroilo się budżet przeznaczony na rozwój infrastruktury, szczególnie na kolej. I myślę, że gdybyśmy wtedy tak jak i na Słowacji większą uwagę do tego przywiązywali, to teraz nie trzeba by tego kapitału tak na siłę zapraszać. Wtedy rozwój infrastruktury byłby na wyższym poziomie, to nawet i gospodarczo byłoby nam łatwiej funkcjonować.

Ale to są oczywiście te sprawy, o których mogę myśleć jak o sprawach zaniechanych czy źle rozegranych. Natomiast żeby była jasność: ja bardzo pozytywnie oceniam rolę tego pierwszego zwłaszcza Senatu. Sądzę, że i do tej pory Senat jest bardzo potrzebny. Ale właśnie to, co wyszło w sposób taki niezamierzony, że jednak prawie 100 proc. Senatu obsadził Komitet Obywatelski, to było zbawienne, jeżeli chodzi o zdecydowane wprowadzenie reform w Polsce. Bo wyobraźmy sobie, że Senat byłby rozproszony na różne kluby, które musiałyby coś tam uzgadniać, to wtedy niemożliwe byłyby wprowadzenie samorządności w Polsce. A jednak to była inicjatywa Senatu i rzeczywiście to jest największe osiągnięcie. Tu się nie da równie wielkiej wagi zagadnień postawić jako dowód dużych dokonań Senatu. To było największe, że wyodrębniliśmy samorzady, że stworzyliśmy samorządność w Polsce, to było osiągnięcie niewyobrażalne. Dlatego, że gdybyśmy tego nie stworzyli, to po prostu Polska by zupełnie inaczej wyglądała. Dzięki temu, że stworzyliśmy samorządność, ludzie sami decydowali w gminach o tym, w jakim kierunku pójdą. To nauczyło ludzi samodzielności i przede wszystkim to szybkie wprowadzenie tych zmian, całego pakietu ustaw dotyczących samorządności spowodowało, że tutaj podziały polityczne nie grały roli. Ale to Senat dzięki temu, że był jednolity, zaproponował. Senat miał ogromny autorytet dlatego, że był całkowitym przedstawicielem siły zwycięskiej w wyborach, wobec których czuli respekt nawet członkowie PZPR-u. Później stracili trochę dzięki nam ten respekt, ale my mogliśmy zainicjować i nie było zbędnych dyskusji. Jeżeli to nie godziło bezpośrednio w ich interesy, to oni się godzili.

To, że Senat podjął te prace ustawodawcze, zaproponował, to było zbawienie. To było zbawienne wyjście dlatego, że tu jakby był jeden autorski pomysł, został zaakceptowany przez już podzielony Sejm, ale to udało się dzięki temu, że Senat był tą siłą politycznie wyraźną i miał autorytet między innymi z tych powodów, że żeby zostać senatorem, to trzeba było zdobyć ponad 50 proc. głosów. Później zmieniono tę ordynację i dwóch pierwszych wchodziło. Ale zdobyć ponad 50 proc. głosów wyborców to oczywiście nie było łatwe zadanie. Oczywiście to zdjęcie z Lechem Wałęsą dawało szansę i dzięki temu było takie duże zwycięstwo, ale to jednak ponad połowa Polaków biorąca udział w wyborach musiała zdecydować. Ja sam pamiętam, że osiągnąłem wynik, który teraz jest w ogóle nie do wyobrażenia, zwłaszcza późniejsze moje wyniki różne. No, jeżeli tu było ponad pół miliona wyborców, a ja miałem 275 tysięcy ludzi, którzy na mnie głosowali, to po prostu jest to teraz nie do osiągnięcia dla nikogo. Przy wyborach prezydenckich w drugiej turze można dopiero to osiągnąć, prawda. Ale to było ogromne dokonanie.

Myślę, że też ustawa o ZOZ-ach, która była z inicjatywy Senatu, jest godna podkreślenia. Aczkolwiek jak powiedziałem, byłem w Komisji Polityki Społecznej, która też obejmowała zdrowie. W związku z tym tak trochę z boku się przyglądałem. Do końca nie byłem w stanie przetrwać tych wszystkich pomysłów reform, które się wtedy rodziły, bardzo licznych, wzajemnie się wykluczających. Ale jakieś sprawy zostały podjęte, potem oczywiście z różnym skutkiem. Dopiero za rządów premiera Buzka zostały właściwie postawione. Niestety zostały zmarnotrawione w późniejszym okresie.

Ale gdyby pani mnie pytała o ustawę, która największe emocje budziła, to wiadomo: była to ustawa o ochronie życia poczętego. To były niewyobrażalne emocje. A już nie chodzi tylko o to, że te emocje były na poziomie parlamentu, w pracach parlamentu widoczne. W Sejmie czy w Senacie to były ostre spory, zaciekle ataki. Ale pamiętam, że trudno było wtedy, no, jakoś zachować pewien dystans czy uwolnić się od tego problemu, bo gdziekolwiek się człowiek pojawiał, to ciągle był pytany: „A jak głosował pan w sprawie aborcji?”. To była najważniejsza sprawa i jedyna. Nawet

pamiętam, że ktoś mnie zaprosił, jeden z dziennikarzy znajomych z Bydgoszczy, który już pracował w Warszawie, na parapetówkę. Tam było duże grono osób, a to było akurat po jakimś głosowaniu w sprawie właśnie tej ustawy. I co się okazuje? Całe przyjęcie było nieudane, bo nikt nie był w stanie spokojnie cieszyć się z tego, że nasz kolega ma nowe mieszkanie, tylko wszyscy sobie skakali do oczu, dyskutując o tych rozwiązaniach w sprawie ochrony życia poczętego. Więc to była na pewno ustawa, która wywołała największe emocje. Ale myślę, że przez to, że jakoś tam w Senacie udało się uzgodnić, to ten kształt został tak ustalony, że był do przyjęcia przez wszystkich. I myślę, że dobrze funkcjonuje do dzisiaj.

A religia w szkołach?

Sprawa religii w szkołach, no, to już mniejsze emocje wywoływała, ale oczywiście też. Zresztą nie tylko sprawa religii w szkołach. Często byliśmy atakowani, że tu takie ciężkie problemy gospodarcze, a nam się zachciewa orła w koronie, zmiany godła czy wprowadzenia jakiegoś orderu, bo to za wojnę polsko-bolszewicką czy uczczenie jakiś rocznic. Nieraz podejmowaliśmy uchwały w rzeczach istotnych, o dużej randze historycznej, w sprawie chociażby najazdu na Czechosłowację, to ciągle słyszeliśmy głosy: „Czym oni się zajmują?! Tematami zastępczymi się zajmują!”. A teraz, jak się z perspektywy czasu patrzy na to, to jednak te ustawy były bardzo ważne i miały zasadnicze znaczenie, bo przynajmniej w części jakąś cezurę ustawiliśmy między starymi czasami a nowymi czasami. Teraz premier Mazowiecki na spotkaniach rocznicowych w ubiegłym roku wspominał, że może właśnie błędem było to, że za mało staraliśmy się, żeby przedzielić ten okres komunistyczny od tego nowego, że trzeba było jakoś inaczej to zrobić. Oczywiście można w różny sposób, przez takie czy inne akademie, ale myślę, że potrzebne są wydarzenia zdecydowane, które ludzie zauważą.

I myślę, że Senat w części przynajmniej niektóre rzeczy podejmował. Podejmował trudne tematy, chociażby reprzywatyzacji, która była potem uwalana w Sejmie, bo tam już oczywiście inne siły działały. Ale reprzywatyzacja powinna być posunięta dalej niż wtedy. Wtedy o przywatyzacji trudno było dyskutować, o reprzywatyzacji jeszcze bardziej, a Senat jednak pewne rzeczy potrafił popychać dalej. Oczywiście była ważna też działalność Senatu, jeżeli chodzi o zawiązanie wspólnoty z udziałem marszałka Senatu, finansowanie Polonii i Polaków zagranicą, zwłaszcza na wschodzie. To były rzeczy, które właśnie wtedy mogły się komuś wydawać mało ważne, „zajmowanie się tematami zastępczymi”. A z perspektywy czasu widać, że to były naprawdę bardzo istotne rzeczy, jeżeli chodzi o działalność Senatu.

Natomiast ja z dumą wspominam właśnie swoje zaangażowanie w sprawy międzynarodowe, bo sprawami międzynarodowymi się nie zajmowałem z zasady, ale bardzo przeżyliśmy siłowe rozwiązanie w Wilnie, gdzie przy szturmie na wieżę telewizyjną zginęło 14 osób. Była oczywiście odpowiednia uchwała Senatu z 11 stycznia, ale po tej uchwale zaczęliśmy się zastanawiać, jak wesprzeć Litwinów nie z Warszawy, tylko pokazać im naszą solidarność. No i zrodził się pomysł, żeby pojechać do Wilna. A wtedy, może już teraz nie wszyscy pamiętają, ale po tym ataku na wieżę telewizyjną siły patriotyczne litewskie zgromadziły się w parlamencie, zabarykadowały się, no i właściwie dookoła to był jeszcze Związek Radziecki, więc też wszyscy byli przygotowani na siłowe rozwiązanie. I zrodziła się inicjatywa, żeby pojechać do Wilna, żeby delegacja Senatu pojechała. To była inicjatywa grupy senatorów Porozumienia Centrum. No, kiedy ten pomysł się zrodził, to za dużo chętnych nie było do tego wyjazdu, to jest prawda. No, ale w końcu czwórka senatorów zdecydowała się, w tym pani senator jeszcze wtedy, bo nie marszałek, Alicja Grzeškowiak, Piotr Andrzejewski, Bartłomiej Kołodziej i ja zdecydowaliśmy się jechać. Muszę powiedzieć, że to nie było tak, że taki byłem bardzo odważny, bo tak sobie wyobrażaliśmy, że jak tam wejdziemy, a to był mróz, zima sroga, to tam gdzieś nas mogą zamknąć. Oczywiście liczyliśmy, że może nas od razu nie zamkną na ileś lat i nie wymordują, ale na ostre przygody się nastawiliśmy. Pan marszałek Stelmachowski, świętej pamięci, bardzo nam odradzał. Wiedział, że to jest bardzo ryzykowny wyjazd. No, ale powiedzieliśmy, że jak on nam nie da paszportów dyplomatycznych, to pojedziemy prywatnie. Więc dał nam te paszporty i pojechaliśmy. I myślę, że

dobrze zrobiliśmy. Nie spotkało nas nic złego. Dojechaliśmy bez przeszkód. Pamiętam jeszcze, że przed samym Wilnem dopytywaliśmy się o drogę, a tam jacyś Azjaci nie rozumieli w żadnym języku. No, ale żartowaliśmy, że jak pytaliśmy, gdzie jest Wielki Chorał, to dopiero nam pokazali drogę, bo to byli jacyś Mongołowie, jacyś Azjaci. No, ale dojechaliśmy bez przeszkód i muszę powiedzieć, że Litwini odebrali to jako wielkie poparcie. Była tylko nas czwórka, później jeszcze po kilku dniach dojechał już w inny sposób Jacek Kuroń, o ile pamiętam, a my byliśmy w czwórkę. Uczestniczyliśmy w tym pogrzebie w sposób oficjalny jako delegacja senatorów, może nie Senatu całego, nie mieliśmy mandatu, ale jako senatorowie mieliśmy przemówienia, spotkania w tym najtrudniejszym momencie dla Litwinów, gdzie dramat był świeży, ofiary były wystawione w trumnach. I było pytanie „co dalej?”. Więc uczestniczyliśmy w tych uroczystościach. Przez cztery doby byliśmy z nimi w tym zabarykadowanym parlamencie. I wystosowaliśmy stamtąd taka odezwę do parlamentarzystów z całego świata. Skierowaliśmy taki apel, żeby jednak cały świat się zainteresował, co się dzieje na Litwie. Wydawało nam się, że to jest taki zwykły gest solidarności i tak to było, ale on miał jednak chyba ogromne znaczenie i przez Litwinów, władze litewskie był bardzo dobrze odebrany, z najwyższą uwagą, czego potwierdzeniem jest fakt, że ku mojemu zaskoczeniu, jak kiedyś byłem zupełnie wyautowany z bieżącego życia politycznego, dostałem zaproszenie od prezydenta Litwy i się okazało, że nasza czwórka plus jeszcze dwie osoby dostały odznaczenie państwowe litewskie właśnie za to wsparcie w tym najtrudniejszym momencie, w okresie próby dla Litwinów. Ja właśnie żartuję, chociaż nie do końca jest to żart, że tutaj w Polsce działalnością polityczną, opozycyjną, walką z komunizmem zajmuję się już kilkadziesiąt lat i nie mam nawet dyplomu. A tam byłem tylko cztery doby i dostałem odznaczenie państwowe z rąk prezydenta Litwy. To mnie napawa pewną dumą, ale to jest jakby potwierdzenie.

To jest faktem, że jak kiedyś pierwsze lata po studiach się nudziłem, to potem na brak emocji nie mogłem narzekać.

Chciałabym spytać, co różniło tamten Senat od tej sceny politycznej, która jest dzisiaj? Że mimo iż były różnice i czasem te konflikty były dość ostre, to udało się uchwalić tak dużo, udało się, jak do tej pory, zrobić najwięcej.

Może nie mówmy już o samym Senacie tylko o parlamencie z tamtego okresu, który był przecież ustalony w drodze umów okrągłostołowych. Przecież tutaj nie było pełnej demokracji, ale myślę, że była jedna podstawowa cecha, która różniła parlamentarzystów tej pierwszej kadencji w Senacie, ale i w Sejmie, tej części z wolnych wyborów, ale i całego parlamentu: po prostu niezależnie od orientacji politycznej była autentyczna chęć zmiany Polski na lepsze, wprowadzania zmian na lepsze, zmian gospodarczych, nawet i politycznych, wprowadzenie demokracji, na zmianie Polski. Różnie to rozumieliśmy, ale jednak chyba prawie nie było ludzi, którzy kierowaliby się czym innym jak chęcią dokonania zmian, które wyprowadzą Polskę z kryzysu, zrobią z niej Polskę demokratyczną, w której obywatele będą mogli dobrze żyć.

I co najważniejsze, nawet jak były ostre spory, to nie było wzajemnego niszczenia się. Teraz jest wzajemne niszczenie i to nawet wśród ludzi, którzy mają wspólne korzenie ideowe i polityczne. Tam jednak się tolerowaliśmy. Może był nawet większy dystans czasami między poszczególnymi grupami poselskimi, ale jednak jak przychodziło do sprawy zasadniczej, to się dogadywaliśmy. Teraz taki pakiet ustaw samorządowych nie przeszedłby. Byłyby 32 powody ku temu, żeby wykazać, że złe są intencje drugiego obozu konkurenta i tak dalej. Taki pakiet ustaw nie miałby szans do przeprowadzenia, do przejścia w tak krótkim czasie. Jednak była chęć działania, chęć służenia dobru wspólnemu. Może to brzmi zbyt uroczyście, ale było coś takiego, jak chęć dokonania czegoś ważnego w Polsce. A w tej chwili jak patrzę na to, jak funkcjonuje parlament, jak funkcjonują parlamentarzyści, jak w mediach[^]. Otóż w tamtych czasach pokazywano ludzi, którzy pracowali nad konkretnymi projektami, nad rozwiązaniami. Ludzie byli znani z pracy, pokazywali, nad jakim pakietem ustaw pracują. A w tej chwili? Poza stałymi uczestnikami bijatyk, bitew, walk podjazdowych, to właściwie nie widzimy żadnych innych przedstawicieli klubów poselskich. Nie widzimy parlamentarzystów, którzy są pokazywani dlatego, że przygotowali najwięcej projektów

ustaw, pracowali nad wieloma projektami ustaw. Nie pokazuje się najbardziej pracowitych parlamentarzystów, nie pokazuje się ich dokonań, tylko jest pokazywany mechanizm zakulisowych i otwartych wojen. I właściwie uczestnikami, jakby reprezentantami całych środowisk politycznych są ci zagońcownicy, ja nie wiem jak ich nazwać, ci tacy przedstawiciele partii politycznych, którzy potrafią^ Można powiedzieć, liczą się tylko zabijaki po wszystkich stronach. I to jest przerażające.

To spowodowało, że ja ostatecznie nawet zdecydowałem się wycofać z polityki, bo oczywiście, po AWS-ie wybory przegrałem w sromotny sposób, bo wynik miałem tak kiepski, że wstyd się przyznać, zresztą nie tylko ja, ale oczywiście to nie zamykało drogi w działalności politycznej, bo wystarczyło zdecydować się na jeden czy drugi obóz i można było w szybkim tempie odzyskiwać głosy. Najlepszym tego przykładem jest mój szef, czyli pan premier Buzek, który przecież potem brylował i miał najlepsze osiągnięcia, mimo że na początku też przecież miał problemy. Ale to jest właśnie najbardziej zniechęcające. I jak patrzę na kompetencje tych przedstawicieli poszczególnych klubów, partii, to myślę, że oprócz ujadania, bo tak to należy nazwać, to niewiele więcej potrafią. To jest smutne i przykre, ale ja na przykład kiedyś zapytany, z czego jestem najbardziej dumny po tych latach działalności politycznej, to doszedłem do wniosku, że mam taką osobistą satysfakcję z tego powodu, że ja nie muszę żyć z polityki, że ja mogę być przydatny w innych obszarach - czy to w działalności biznesowej, bo kierowałem dużą firmą budowlaną, którą ratowałem z upadku, pracowałem w administracji państwowej, teraz kieruję ważną izbą gospodarczą. A właśnie myślę, że nieszczęściem życia politycznego w Polsce, a zwłaszcza nieszczęściem obu izb parlamentu, jest to, że tam jest zbyt dużo ludzi, którzy nie mają pojęcia o innych dziedzinach życia, o gospodarce, o kulturze, o czymkolwiek poza działalnością polityczną, parapolityczną, bo trudno to nazwać wszystkim polityką. To jest jakieś zwyrodnienie czy wypaczenie polityki, ale oni niczego nie potrafią. Gdyby nagle przestali być parlamentarzystami, to oni naprawdę są bezrobotni. Nie dlatego, że nikt nie chciał im zorganizować pracy, ale podejrzewam, że znaczna część, nie powiem, że większość, bo może bym przesadził, nie nadaje się do jakiegokolwiek pracy. Jak pracowałem i kierowałem firmą budowlaną, którą trzeba było dźwigać, ratować, gdzie nie było udawania, bo albo się udawało postawić na nogi, albo nie, a efekt pracy był bardzo wymierny. Tak sobie nieraz myślałem, że zanim się wybierze kogoś do parlamentu, to powinno się dać go testowi, poddać testowi w pracy, w takiej firmie budowlanej, bo tam nie ma udawania. Musi być przedsiębiorczy, musisz oszczędzać wydatki, musisz koszty liczyć i tak dalej, tylko doszedłem do wniosku, że szkoda tych firm budowlanych by było dla tych, ale to jest taka nauuczka na przyszłość, w której musimy, w przyszłości na to zwracać większą uwagę, żeby jednak w parlamencie byli ludzie, którzy poza czystą polityczną działalnością, mają pojęcie i o innych sprawach. My mieliśmy tę przewagę, że byliśmy rewolucjonistami, wprowadzaliśmy zmiany, wiedzieliśmy, czego chcemy, służyliśmy idei i to nie słownie, bo jednak zdecydowana większość była poddana represjom, zaliczała więzienia, torturowania. Nikt nie robił tego z wyrachowania. Nikt nie liczył, tak jak ja wtedy nie liczyłem, że zostanę senatorem czy ministrem kiedyś. Ja raczej myślałem o bezrobociu, o tułaniu się. Ale wtedy były pobudki ideowe i dlatego, myślę, że się dogadywaliśmy. Liczyliśmy, że inni też się jakimiś motywami kierują, mają określone cele, może inaczej rozumieją, ale trzeba z nimi dyskutować. I taka dyskusja miała miejsce. A teraz właściwie jest tylko wzajemne niszczenie się i jak uczestniczę czasem w pracach parlamentu z racji obecnej funkcji zawodowej, to muszę powiedzieć, że czasami jestem zdruzgotany poziomem wiedzy, a raczej niewiedzy poziomem poszczególnych parlamentarzystów. Jest to żenujące. Myślę, że już Polska zasługuje na to, żeby parlamentarzystami byli ludzie o wyższym statusie zawodowym. Myślę, że trzeba przerwać to błędne koło, kiedy szanujący się fachowiec, człowiek znający swoją dziedzinę, mający kwalifikacje i doświadczenia, nie chce iść do polityki dlatego, że do tego szamba nie chce wchodzić. Nie chce się narażać, bo to jest ryzykowne, wie, że może niezasłużone kary ponosić, być napiętnowany. Jest to coś nienormalnego. Myślę, że to z czasem jakoś przezwyciężymy w kraju, ale to trzeba wyraźnie mówić, że do polityki trzeba ludzi przygotowanych, niekoniecznie zawodowych polityków, prawda, ale ludzi przygotowanych.

I myślę, że jeszcze jedną rzecz trzeba zapewnić, czego ja jestem jakby żywym przykładem,

sam się przekonałem o tym, że będąc po pełnionych funkcjach, bardzo wysokich, w następnych miesiącach latach od razu bezrobotny. Trzeba zapewnić godny byt, ja nie mówię, że zasobny bardzo, ale byt godny tym, którzy sprawowali funkcje ważne bardzo państwowe, parlamentarne. Chodzi o to, żeby ci ludzie, sprawując godnie swoje urzędy przy zmianie koniunktury politycznej, nie zostawali na lodzie, na bruku. Ja tego sam doświadczyłem i wiem, jakim pokusom ulegają ludzie pełniący funkcje publiczne, rządowe czy parlamentarne. Oni wiedzą, że kadencja może się skończyć i oni zostaną na lodzie. Nawet jeżeli mieli jakiś zawód, to tracą kontakt z tym zawodem. I myślę, że to jest droga pokusy korupcji. To jest droga do korupcji dlatego, że wtedy wiele osób, już sprawując funkcje, myśli, jak się zabezpieczyć na moment, kiedy będą poza polityką, poza sprawowaniem tej funkcji. A u nas jak następna partia przychodzi, to niszczy tę poprzednią, która przegrała, a która może wrócić, ale wzajemnie się niszczymy. Jest to bardzo niedobry objaw. Myślę, że w życiu politycznym musimy my jako naród tę niedobrą tendencję przewyciężyć. No, nie może być tak, że znany parlamentarzysta, który ma wielkie dokonania, potem przymiera głodem. Ja mogę powiedzieć, że nawet jako minister z niepokojem obserwowałem, że jeden z moich zastępców, fachowiec o kwalifikacjach, które powinny być jego atutem i przedmiotem zabiegów, no, żyje z drobnych zleconych prac. Człowiek, który o Unii Europejskiej i o naszych zobowiązaniach może powiedzieć mnóstwo, encyklopedią jest i się okazuje, że nie ma zapotrzebowania na takiego człowieka, mimo że on jest ideologiem, nie jest określony politycznie. Ale to jest taka niedobra tendencja, że ten czysto polityczny dobór, pozbawiony merytorycznych uwarunkowań, powoduje, że ci politycy są niechętni nawet wobec tych ludzi, którzy coś wiedzą w wielu partiach. Ja mówię o pewnych tendencjach, nie dramatyzuję, ale mówię o pewnych tendencjach, które muszą być przewyciężone.

W tej pierwszej kadencji był Pan osobą z dużą historią i doświadczeniami i jednocześnie z nastawieniem na zmianę. Jak Pan reagował na wybór prezydenta?

No, właśnie, prezydenta Jaruzelskiego. Ja pamiętam, jaka wtedy była atmosfera. Ciągłe był strach, że elity PZPR-owskie zdenerwują się, zorganizują pucz. Myśmy byli bardziej ustępliwi, niż oni tego oczekiwali. Niestety wybór prezydenta jest tego żywym przykładem. Oczywiście demokracja ma swoje prawa. Można powiedzieć, że dobrze się stało, że prezydent Jaruzelski objął władzę w tym momencie. Może i można się dopatrywać jakiś tam korzyści, ale przecież gdybyśmy uczciwie głosowali, zgodnie z naszymi zobowiązaniami wobec wyborców, to nie powinno się zdarzyć, że tych sześć czy ileś osób głosuje za Jaruzelskim. Bo to jest po prostu nieuczciwe. Można mówić o jakiś wyższych racjach, ale cel nie może uświęcać środków. I myślę, że tego typu grzechy potem się mściły. Później zaczęliśmy nie wierzyć sobie, bo nagle się okazuje, że my coś tam ustaliśmy, my wchodzimy jako obóz zwycięski, najpierw oddajemy im te głosy, których nie byli w stanie wygrać, do kontraktowego Sejmu, oddajemy PZPR-owi, żeby wygrał to w regionach. Przecież oni mieli poczucie klęski i nie było powodu, żeby nie dobrać tych posłów iluś. No, my dochowaliśmy umów bardziej, niż trzeba było, w 150 proc. Oni potem jak zobaczyli, że my jesteśmy tacy słabi, to już potrafili to wykorzystywać. I tu myślę, że trzeba było uczciwie postawić sprawę i myślę, że nic by się nie stało w Polsce. Nastąpiłoby pewne przyspieszenie. Może Polacy wtedy by odebrali inaczej zmiany. Może wtedy pan premier Mazowiecki, (którego szanuję za wiele spraw, żeby była jasność, może po czasie nawet bardziej niż wtedy), ale nie musiałby się zastanawiać, jak miałby pokreślić tę cezurę. Bo myślę, że niewybranie Jaruzelskiego w tym momencie byłoby sygnałem, że tamta epoka odchodzi. A tak wybory wygraliśmy, pani Szczepkowska powiedziała, że skończyła się komuna, prawda, a nie do końca miała rację, bo się okazuje, że mamy rząd, gdzie Kiszczak, ten który odmawiał mi wyjazdu na zachód, wydania paszportu, prawda, jest moim szefem, jest moją władzą. Oczywiście nie chodzi o moje osobiste urazy, no, ale jak mogłem oceniać te zmiany w Polsce, prawda. Jednak gdyby wtedy nastąpiło przyspieszenie w sposób naturalny, to myślę, że nie byłoby rewolty czy kontrrewolucji w Polsce. Naród tak wybrał, tak Zgromadzenie wybrało. No, przecież on nawet i po swojej stronie... No, przecież Zgromadzenie było bardzo różnorodne, prawda, i myślę, że oni by to przeżyli. Więc niezależnie od tego, że może wielkiej zbrodni nie popełnił czy

może jeszcze nie najgorzej sprawował tę swoją funkcję, ale złamano jak gdyby zasady demokracji. Głosowano wbrew swoim celom, wbrew zobowiązaniom. I takie rzeczy się mszczą potem.

Po czymś takim trudno się było dziwić, że musiała nastąpić wojna na górze. Bo jeżeli ci ludzie, którzy głosowali inaczej, niż się my spodziewaliśmy wszyscy, prawda, inaczej niż nasze deklaracje wyborcze, no, to potem jeszcze ci ludzie chcieli nadawać ton Obywatelskiemu Klubowi Parlamentarnemu. Jeżeli chcieli nadawać ton, to my mieliśmy prawo być nieufni. Skoro oni nie sprawdzili się w głosowaniu, kiedy właściwie o pryncypiach się decydowało, to jak mogliśmy ślepo wierzyć, że oni znowu nie ustąpią w sposób taki zaskakujący, prawda? No i potem to już rzeczywiście, no, w paru miejscach ustępowaliśmy w sposób nieuzasadniony. Ja jestem człowiekiem kompromisu i tak jak twierdziłem i twierdząc: okrągły stół był potrzebny. Ale Polska Zjednoczona Partia Robotnicza była partią totalitarną, niedemokratyczną, antynarodową. I oczywiście kompromis był potrzebny, ale nie można było nie tylko nie kochać, zacząć kochać ich, ale nie można było mieć zaufania do nich. Trzeba było się układać, ale najgorzej było wierzyć im. Więc myślę, że jeżeli chodzi o Magdalenkę, to narosło wiele mitów, ale myślę, że kieliszek, który nie był sam w sobie zły, prawda, bo co tam, kieliszek można wypić, ale to był taki niedobry sygnał, że już nagle następuje zbratanie. Nie można się było zbratać z ludźmi, którzy reprezentowali partię, instytucje, które miały krew Polaków, patriotów na rękach. Trzeba się było z nimi układać, a niekoniecznie bratać. I myślę, że tu nastąpiło takie przegięcie właśnie przez te wybory i potem te podziały, które szły w naszym obozie. One musiały nastąpić. Musiał nastąpić podział, bo życie demokratyczne nie może być koncesjonowane, a takie były próby. Natomiast nie musiały te podziały być takie brutalne, to jest inna sprawa zupełnie. Rozwodzić się można w różny sposób.

Miał Pan czas na kontakty z innymi senatorami?

Tak, odwiedzaliśmy się, jak były różnego rodzaju uroczystości, zapraszaliśmy się wzajemnie. Ale jednak głównym miejscem spotkania to był parlament, Warszawa. Nawet w Warszawie nie było za bardzo czasu, żeby... Tyle czasu w końcu przebywaliśmy w Warszawie i uświadamiam sobie, że Warszawę to znam z okresu wcześniejszego, niewiele korzystałem z Warszawy.

Ale w parlamencie też był bar, może koniak?

No, tak, ale to były takie zabawne historie, bo na początku, jak weszliśmy do parlamentu, to się okazuje, że nagle wprowadzono te klasztorne zasady. Wódka zniknęła w ogóle ze stołów, zabawy się skończyły, kelnerzy nas nienawidzili. Nie wiedzieliśmy na początku za co. No, bo wprowadzono taką abstynencję absolutną oczywiście, która się nie mogła długo utrzymać. I potem jeden z kolegów opowiadał, jak pan wicepremier, który zginął potem, sam się postrzelił czy jego postrzelono, no, uciekło mi nazwisko, z PZPR, siedzieli przy stole, nie było stolika wolnego. On usiadł przy tych parlamentarzystach z PZPR, no i ten taki w bezpośrednich kontaktach, pan wicepremier zamawiał wódkę „tonik otwarty”. „Tonik otwarty” wprowadzono, czyli to był alkohol w butelkach po toniku, tak. Takie zasłony robiono. Ale potem już szybko, już w drugiej kadencji to już nie było żadnych różnic i być może nawet w drugą skrajność niektórzy popadali. Ale na początku to były takie różne momenty, gdzie bardzo nieufnie, podejrzliwie... I bali się, że my będziemy tacy, no, sztywni, z takimi faryzejskimi wręcz zasadami moralnymi, że przy nas nie da się pożyć. I tu się okazało, że pod tym względem różnice szybko przestały istnieć. Tutaj już podziały polityczne nie grały roli.

Natomiast jeżeli chodzi o Senat, to jakby patrzeć na aktywność poszczególnych senatorów, to byli tacy, którzy prawie w ogóle nie zabierali głosu, jak świętej pamięci senator Holoubek, który jak na końcu zabrał głos z jakimś podziękowaniem, to wszyscy mu bili brawa, że w ogóle się przełamał i przemówił. A przecież to nie był człowiek, który nie mógłby zabierać głosu. Jakoś mu było nieporęcznie. Ja go rozumiem trochę. Człowiek, który szanuje własne kompetencje, to tak nie strzępi języka po próżnicy, na wszystkie tematy. Nawet jak ma coś do powiedzenia, to uważa, że to jest za mała, za drobna uwaga.

No, ale byli też tacy, nie będę już wymieniał z nazwiska, którzy w czasie jednodniowego czy trzydniowego posiedzenia Senatu zabierali głos 16 razy na przykład. Ja już byłem taki zły, bo to oczywiście było czepialstwo, dzielenie włosa na czworo, o słówka dyskusje. Pamiętam, jak z takim senatorem już nieżyjącym dyskutuję i mówię: „Dlaczego pan, panie profesorze, zabiera tyle razy głos? Czy pan musi?” - już tak trochę mu wypominałem. A on mówi: „Tak, bo każdy głos, każde wystąpienie to prawie cztery tysiące głosów w następnych wyborach”. Potem się okazało, że głosów odjętych, niedodanych. Ale byli tacy, i to cała grupa, rzeczywiście ludzi, którzy szanowali siebie i nie strzepili języka po próżnicy, to czasami na zasadzie pewnej blokady: „A niech już sobie gadają”. Uczestniczyli jakoś w pracach, głosowali, interesowali się, ale nie zabierali głosu. Więc różnice były. Ja nie należałem do najbardziej... Kilka czy kilkanaście razy zabrałem głos w jakichś tam kwestiach przygotowanych, na zasadzie drobnej uwagi wymyślonej *ad hoc*, ale nie uważałem, że gadulstwo to jest podstawowa powinność parlamentarzysty. Oczywiście praca w komisjach i tam można było w pełni wykazywać się aktywnością słowną i analityczną, wszystko jedno. Nie wszyscy musieli tak od razu za wszystkich dyskutować na posiedzeniach plenarnych.

Natomiast jak wiadomo, na początku obradowaliśmy w sali kolumnowej Sejmu, w tej dużej. Nie było jeszcze sali senackiej, dopiero później została oddana, wybudowana. No i siedzieliśmy przy tych stołach, ale tam była taka kotara, która dzieliła schody wychodzące na pierwsze piętro. I za tę kotarę chętnie sobie wyskakiwaliśmy na papierosa, zdaje się, też sobie popalałem wtedy, może nie zawsze, ale w każdy razie, jeżeli nie popalałem, to chętnie za tę kotarę wychodziłem na jakąś tam przerwę, żeby posłuchać różnych anegdot. I tutaj rzeczywiście była prawdziwa przyjemność słuchać pana Holoubka, Wajdy i Szczepkowskiego. No, to oczywiście mnóstwo się tam człowiek naśmiał, czasami trzeba było uważać, żeby nie za głośno. Ale to była taka mała odskocznia, na stojąco, przy schodach za kotarą. Tak że to były jedne z przyjemniejszych momentów.

I jeżeli pani wcześniej pytała o przyjaźnie, to z wieloma ludźmi to do tej pory mam kontakty, ale później właśnie miałem tylko pecha, bo ja wszystko kończyłem w dwa lata i jak byłem senatorem, to kadencja została skrócona do połowy i byłem tylko dwa lata. Poszedłem do Sejmu, to też kadencja była dwuletnia, prawda, przerwano.

Natomiast tak na marginesie mogę powiedzieć, że mam taką w życiorysie jedną datę, która się powtarza, to jest 19 października. 19 października jakby zaznaczyło się w moim życiu przez to, że to było ostatnie spotkanie z księdzem Jerzym Popiełuszką w Bydgoszczy. Byłem na tym spotkaniu, bo mój przyjaciel ksiądz Jerzy Osiński go zaprosił. No, byłem na tym spotkaniu oczywiście ogólnym i potem w kularach, nawet i w mieszkaniu bezpośrednio z księdzem Jerzym i mogłem z nim między innymi porozmawiać. I potem jeszcze odprowadzałem. Byłem jedną z trzech osób, które on widział, oprócz później morderców, przy odjeździe. Nie jest to oczywiście prywatne takie moje wydarzenie, ale dotyczyło też mnie osobiście, prawda, bo później jak następnego dnia dowiedziałem się, że... No i oczywiście namawiałem księdza, żeby od nas przyjął eskortę, żeby ten samochód, który mu towarzyszył w tą drogę, żeby wracał. Ale on powiedział, że nie ma potrzeby, że skoro nie przeszkadzili mu w przyjeździe do Bydgoszczy, to nie mają interesu przeszkadzać w powrocie do Warszawy, nie. Kategorycznie nie chciał. Ciągle miałem z tego powodu wyrzuty. Można było próbować, ale to oczywiście trudno liczyć na to, żeby się cokolwiek zmieniło w tej historii. Przecież mogli działać inaczej.

No i po pięciu latach od tego momentu, nie, nie, ksiądz Jerzy w 1984, tak, po kilku latach 19 października zostałem wezwany przez pana ministra Rokitę, który mi wręczył odwołanie z funkcji wojewody. I nawet mu powiedziałem, że szkoda, że to dzisiaj, bo dzisiaj jest akurat rocznica śmierci Jerzego i miałem być... Nawet był taki speszony tym, no, ale 19 października otrzymałem wypowiedzenie, znaczy, odwołanie z funkcji wojewody. Później, po kilku latach, czy po 15 latach, 19 października o godzinie 9 rano zostałem ministrem środowiska. I 19 października, dokładnie po dwóch latach, co do godziny, skończyła się misja rządu premiera Buzka i 19 października przestałem być ministrem. Taki dziwny zbieg okoliczności.

Czeka Pan na to, co będzie w tym roku 19 października?

No, właśnie, tak zawsze z zainteresowaniem. No, ale trudno powiedzieć, że to same nieszczęścia tego października, ale zawsze coś się działo.

Czego się Pan spodziewa w tym roku w październiku?

No, w październiku, tak, wybory samorządowe. Ja myślę, że jakiś pozytywnych objawów, przejawów normalnienia życia publicznego. Bo myślę, że jeśli chodzi o samorządność, to tutaj oczywiście też przejawiają się cechy negatywne naszej nacji. Ale jednak samorządność rządzi się innymi prawami i myślę, że trochę znormalniejemy. Przez te wybory październikowe może odskoczmy od tych wielkich wydarzeń tragicznych i przypisywania pseudosymbolicznych znaczeń, można tak powiedzieć, że może te wybory pozwolą nam trochę znormalnieć, jeżeli chodzi o politykę. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Czym się Pan zajmował po zakończeniu kariery politycznej?

Jak przestałem być wojewodą, to jeszcze byłem prze kilka miesięcy posłem. No, więc jak przestałem być posłem, to się stałem oczywiście bezrobotnym i jeszcze z długami, jak powiedziałem, 50 milionów musiałem spłacać. I właściwie nie wiedziałem, za co się zabrać i zostałem namówiony, zaproszony do konkursu na stanowisko dyrektora dużej firmy budowlanej BUDOPOL, to państwowa firma była, której byłem organem założycielskim. Ta firma była pod moim nadzorem, jak byłem wojewodą. Ja miałem wtedy około dwustu firm, około dwustu nadzorowałem. No i „Solidarność” zgłosiła się z taką prośbą. Dla mnie to było takie trochę zaskakująco szokujące zaproszenie, bo sobie myślę: „Ja z budowlanką nie miałem nic wspólnego...”. To mi wytłumaczyli, że dyrektor rzeźni wcale nie musi osobiście potrafić robić salcesonu. No i mnie przekonali trochę tym. No, ale musiałem przystąpić do konkursu i to dla mnie było... czułem się jak sztubak dlatego, że w komisji egzaminacyjnej, tej konkursowej, było dwóch moich byłych pracowników z Urzędu Wojewódzkiego. Ja nawet nie wiedziałem, jedna była straszna gaduła i teraz nie wiedziałem, czy one mają do mnie pretensje, czy nie mają. No, ale zgłosiłem się anonimowo, nie ujawniałem swoich danych do tego egzaminu. Potem się okazało, że już w przeddzień ktoś ogłosił swoje zwycięstwo, bo powiedział, że ma poparcie. To był jakiś głupiec i był bardzo nierozsądny, był tak pewny siebie, że oznajmił wszystkim, że od jutra jest dyrektorem. W związku z tym zmieniono testy, wicewojewoda Kłopotek wtedy był, ten z PSL-u. I zbulwersowani pracownicy, rada pracownicza i związki zgłosiły się z pretensjami, że ten już się chwali. No, więc zmieniono test. Nawet egzamin się odbywał później. Oczywiście egzamin dotyczył wielu ustaw, przy których ustanawianiu brałem udział, więc tutaj przeszedłem najlepiej ten pisemny. I potem już były pytania zadawane przez radę pracowniczą w państwowej firmie. I jeden z takich robotników uczciwych mówi: „Panie, pan tu najlepiej wypadł w tym teście, tylko my mamy taki problem, bo pan uchodzi za takiego uczciwego, który nie znosi korupcji, panie, to jak my te przetargi będziemy wygrywać?”. Z taką troską pytał. No, ale się okazało, że udało się rozkręcić firmę, uratować. Bo ona rzeczywiście już padała. Udało się uratować przez to, że zaryzykowałem i podejmowałem takie decyzje, których normalni ludzie się bali podejmować. Było takie ryzyko, świadomie nawet zdecydowaliśmy się podjąć pewną inwestycję - budowę jednego obiektu - licząc się z tym, że możemy ponieść straty. No, ale zakładaliśmy, że nie. Ale przede wszystkim mogliśmy przeżyć, bo przyszły nowe źródła finansowe, dostaliśmy oddech i potem złapaliśmy inne zlecenia. A to była firma renomowana, więc jak już mieliśmy jakieś tam pieniądze i zaczęliśmy coś robić, to przyszły zlecenia i jedne ściągały drugie. I tak się udało wyciągnąć i potem nawet sprywatyzować, stworzyliśmy spółkę pracowniczą i tam byłem chyba sześć lat dyrektorem najpierw czy prezesem, najpierw tej firmy państwowej, potem spółki z udziałem pracowników. No i stamtąd zostałem, można powiedzieć, „zmuszony” w cudzysłowie, ale zmuszony, czyli skłoniony. Niezupełnie z entuzjazmem przyjąłem tę funkcję, funkcję ministra, bo tak: nie kandydowałem z listy AWS-u dlatego że, miejscowi działacze „Solidarności” ze względów dla mnie nie do końca zrozumiałych bardzo nie chcieli, żebym tutaj kandydował z listy AWS-u. W związku z tym, że ja tu już byłem dyrektorem firmy, sam też nie odczuwałem takiej niezastąpionej potrzeby bycia w parlamencie.

Zrezygnowałem i dałem na swoje miejsce kolegę z PC, którym kierowałem. I on się dostał. No, ale potem powstał problem, bo my tak okrakiem byliśmy w rządzie Buzka. Pan prezes Jarosław Kaczyński kandydował z listy ROP-u (Ruch Odbudowy Polski), nie z naszej, myśmy tak w przysiadzie, półprzysiadzie. No, to w końcu mieliśmy jednego ministra wtedy ochrony środowiska Jana Szyszko. No, potem właściwie był Szyszko i chyba wiceministrem był Tchórzewski i to był cały dorobek. Przez to, że Kaczyński się nie bardzo identyfikował z tym rządem, to właściwie nie angażował się i nie upychał ludzi do tego rządu, krótko mówiąc. No i potem Jarosław Kaczyński zrezygnował z działalności politycznej i namaścił mnie na swojego następcę. Ja pamiętam, że bardzo niechętnie się podejmowałem dlatego, że byłem poza Warszawą, kierowałem dużą firmą budowlaną. Jeszcze miałem jakieś wyróżnienie, bo zdobyłem tam miano drugiego przedsiębiorcy, drugie miejsce na przedsiębiorcę Pomorza i Kujaw. Tutaj był wielki bal i ja musiałem z tego balu wyjeżdżać do Warszawy na wybory. No, ale tu mnie Kaczyński wskazał i ja zostałem prezesem PC po Jarosławie Kaczyńskim, a Tchórzewski przewodniczącym rady. No i mieliśmy takie koło, które liczyło siedmiu czy ośmiu posłów. Ja tu w Bydgoszczy byłem szefem firmy budowlanej, tutaj problemy były, bo tak: Kaczyński był, nie był, ale decydował i powstał taki problem potem, bo prezes Kaczyński ustalił, że będzie głosowanie za votum nieufności, chodziło o to, żeby być przeciwko Hannie Suchockiej jako ministrowi sprawiedliwości, tak. No i to nasze koło obiecało mu, że będzie tak głosować. Po czym spotkał się z tym kołem, beze mnie, bo ja byłem w Bydgoszczy, premier Buzek i przekonał ich w drugą stronę. Ja tu otrzymuję telefony, że mam przekonać swoje koło, ci telefonów nie odbierają, kot prezesa był chory, ten jeździł go karmić trzy razy dziennie, komórek nie odbierał. Nie miałem żadnego kontaktu. Od siódmej czy od ósmej rano ja tu miałem bardzo poważny przetarg. Tu pertraktuję, ustaliśmy, a ja tutaj już ku zgorzeniu nawet, zdenerwowaniu i złości swoich pracowników wybiegam i tam wydzwaniam. Tu posłów namawiam, żeby głosowali przeciwko Suchockiej i oczywiście nie udało mi się namówić, bo nawet nie miałem z kim rozmawiać przez telefon. No i to była taka trochę utrata zaufania przez pana prezesa Kaczyńskiego, świętej pamięci Gosiewski i nie świętej pamięci, bo żyjący Ludwik Dorn uznali to za dowód mojej zdrady, bo ja nawet posła, który był jedyny, który głosował tak, jak chciał Kaczyński, namawiałem, żeby się dostosował do całego koła, a potem będziemy zmieniać taktykę. Ale chodzi o to, żeby rozbicia nie było w całym klubie, no, ale oczywiście to już była moje tam podpadnięcie. No, ale potem dostaliśmy partię bez źródeł finansowania. Wtedy nie było dotacji państwowych do działalności, tylko ze składek. Były zaległości za czynsze, za inne rzeczy, więc nie wiadomo było, co robić. No, w związku z tym szukaliśmy jakiegoś wsparcia i połączyliśmy się z Chrześcijańskimi Demokratami Pawła Łączkowskiego w ramach już AWS-u. No, już byliśmy w jednej partii i wtedy się okazało, że pan premier Buzek wezwał mnie na rozmowę i powiedział, że mój minister jedyny, to już Sztarko, bo już wicepremierem to już z naszej wspólnej partii, Szyszko będzie odwołany, bo nie spełnia jego oczekiwań i w ogóle żadnej ustawy nie wprowadził, a tam trzeba było kilkanaście ustaw w związku z naszym akcesem do Unii Europejskiej zgłosić. Więc ja wybłagałem, że pomożemy, że zmobilizujemy, w kwietniu to było, nie. No i pan premier dał spokój, przyjął. Jeszcze do Marcinkiewicza chodziłem z kancelarii i Marcinkiewicz udowadniał, że to jest nieudacznik, do niczego się nie nadaje, a później go powołał na ministra, nawiasem mówiąc, taka jest polityka. No, ale od kwietnia do października przeczekaliśmy. W październiku pan premier Buzek mnie znowu wezwał. I wtedy w kwietniu jak mnie wezwał, to powiedział: „Nie gadajmy o szczegółach, tylko czy pan przyjmie ode mnie godność ministra w moim rządzie” - w kwietniu powiedział. Ja powiedziałem, że absolutnie nie w tym celu przyjechałem i odmówiłem, czego się ponoć nie robi. Ale powiedziałem, że zmobilizujemy, że wesprzemy i tak dalej. No i nie udało się zmobilizować pana ministra Szyszko i w październiku już pan premier powiedział: „Albo pan przejmie resort, bo słyszałem, że pan jest przedsiębiorcą, a tu trzeba takiego menadżera, który...” - bo to środki finansowe, inwestycje, oczyszczalnie, lasy państwowe, wiadomo było, że trzeba menadżera - „albo...” - powiedział, nawet wymienił nazwisko bezpartyjnego fachowca akurat z Unii Wolności, ale bezpartyjnego fachowca wymienił. Więc ja nie miałem wyboru jako szef partii, bo stracilibyśmy jako partia właściwie jednego ministra a jeszcze Sztarko by został. Więc bez

entuzjazmu i się musiałem zgodzić. Potem zaczął się kontratak i pan premier Buzek długo nie odpowiadał, ja byłem wystawiony do wiatru, bo Paweł Łączkowski ogłosił, że ja jestem minister *in spe* czy elekt, jakoś tam nazwał, no i oczywiście dziennikarze się dowiedzieli i traktowali mnie jako człowieka, który czyha na to stanowisko. A ja po prostu byłem w głupiej sytuacji, bo tu już było ogłoszone, zgodnie z prawdą, że dostałem propozycję i decyzji nie było. Przez cały tydzień pamiętam, że byłem traktowany przez dziennikarzy jak facet żądny władzy. Ja tak tego nie chciałem, ale mówię: z punktu widzenia politycznego nie miałem wyjścia. No, ale dwa lata co do jednej godziny byłem ministrem.

Bardzo Panu serdecznie dziękuję.